

NAJCENNIEJSZY KAPITAŁ. LUDZIE

I.

Demografia staje się jednym z najważniejszych wyzwań strategicznych przed jakimi stoi Polska. Mówią już o tym nie tylko działacze prorodzinni czy demografowie, ale niemal wszyscy ekonomiści, krajowe i nawet międzynarodowe ośrodki badawcze. Z badań OECD "Looking to 2060: Long-term global growth prospects" wynika, że może to być jedna z głównych barier rozwojowych w XXI w. Co ciekawe, uświadamia też sobie to rząd. W najnowszym „Wieloletnim Planie Finansowym Państwa. 2014-2017” słowo „demografia” pada aż 13 razy.

Można oczywiście, śladem głównie lewicowych środowisk, twierdzić że im mniej ludzi będzie żyło nad Wisłą, tym będzie dla nas lepiej. Przekonują: będzie czystiej, ekologiczniej, wyższe będzie PKB na głowę mieszkańca, mniejsze będzie bezrobocie.

Głęboko się tym nie zgadzamy. W tym absurdalnym modelu myślenia jeśli cieli się ktowa to jest dobre dla PKB a jak rodzi się człowiek to jest źle. Gospodarka, siła, witalność danego narodu, jego innowacyjność – to jego ludzie. Nigdy w historii ludzkości „nie było rozwoju bez kołysek”.

Wystarczy rzut oka na mapę świata, by przekonać się, że te kraje, które są najludniejsze, znaczą najwięcej. USA, Brazylia, Chiny, Niemcy, Indonezja, Nigeria. Na wszystkich kontynentach największe PKB, wpływy i perspektywy mają państwa, w których żyje najwięcej ludzi. Mało ludzi i zła struktura demograficzna prowadzi do tego, że kraj staje się „upadły”. To niższy rozwój, mniej innowacji i społecznej energii. To także mniejsze znaczenie na arenie międzynarodowej, zatem mniejsza podmiotowość, w przypadku Polski mniejszy wpływ na decyzję w Brukseli, a nawet mniej pieniędzy z UE. Nie bez znaczenia jest też mniejsza możliwość obrony własnego terytorium. Generalnie - słabsza pozycja międzynarodowa.

W Polsce problem demograficzny powinien stać się wyzwaniem na miarę naszej racji stanu. Bo nasza sytuacja jest dramatyczna. Zastraszająco dramatyczna. Tną nas, jak ostrza demograficznej gilotyny: nadzwyczaj mała liczba rodzących się dzieci, wielka ucieczka za granicę głównie młodych osób oraz brak elementarnej nawet polityki asymilacji emigrantów. Kraj, który mierzy się z takimi wyzwaniami powinien podjąć nadzwyczajny wysiłek by zapobiec zbliżającemu się wielkimi krokami zderzeniu ze ścianą.

Wierzmy, że jest to możliwe. Wierzmy, że dzięki odpowiedniej polityce Polska stanie się krajem przyjaznym rodzinie, obywatelom, przedsiębiorcom. Takim gdzie chce się posiadać potomstwo i z którego nie trzeba uciekać.

II.

By uzmysłwić sobie skalę wyzwania:

Pierwszy problem to brak dzieci. W 2013 r. umarło o blisko 18 tys. więcej Polaków niż się urodziło. Mamy już zatem ujemny przyrost naturalny. Podobnie było osiem lat temu – lata 2002–2005, były jedynym takim okresem po II wojnie światowej. Wtedy jednak przewaga zgonów nad urodzeniami wynosiła od 3,9 tys. do 14,1 tys. osób rocznie. W ubiegłym roku była rekordowa.

Niektórzy przekonują, że to naturalny proces w bogacących się społeczeństwach. Tyle, że przeczą temu fakty.

Polacy deklarują w badaniach społecznych, że chcą mieć zdecydowanie więcej dzieci niż faktycznie później mają. „Luka” między deklaracjami a rzeczywistością jest u nas jedną z najwyższych w Europie.

Polki, które mają pracę, rodzą dwukrotnie więcej dzieci niż te, które jej nie mają. Eurostat podaje, że wskaźnik dzietności - wskazuje ile dzieci urodzi kobieta w tzw. wieku rozrodczym - dla pracujących Polek w 2011 r. wynosił 1,78, a dla nie pracujących zaledwie 0,92. Co to oznacza? Bezpieczeństwo materialne jest silnie skorelowane z decyzją o posiadaniu potomstwa. Potwierdzają to wyniki badania „Diagnoza Społeczna”, oraz doświadczenia Polek, które w Wielkiej Brytanii czy Irlandii rodzą dwukrotnie więcej dzieci niż nad Wisłą.

Nad Wisłą to nie zmiany kulturowe, ale głównie bariery materialne, nieprzyjazne państwo i brak poczucia bezpieczeństwa, decydują o zastraszająco niskiej liczbie rodzących się dzieci. Innymi słowy - to obiektywne warunki zniechęcają do powiększania rodzin.

Drugi problem to „wielka emigracja”. Jak po powstaniach narodowych! Polska na niespotykaną w Europie skalę stała się dostarczycielem tego co najcenniejsze – ludzi. Poza Polską przebywa obecnie dłużej niż trzy miesiące ponad 2,1 mln rodaków. Większość z nich to tzw. rezydenci, czyli osoby, które zadomowiły się już za granicą, przebywając tam ponad rok. Co gorsza, wyjeżdżają właśnie ci, na których powinno nam najbardziej zależeć – ponad 1,4 mln emigrantów (ponad 40 proc.) ma 39 lat lub mniej. W tym jest 226 tys. dzieci do 15. roku życia.

Co więcej, najliczniejszą grupą emigrantów są osoby w wieku 25–34 lata. Za granicą jest ich 726 tys. Urodzili się w latach 1977–1986, a na świat przyszło wtedy 6,85 mln dzieci. Co to oznacza? Wyjechało 10,6 proc. wszystkich urodzonych wtedy osób, a właśnie one są teraz w najlepszym wieku, by zakładać rodziny.

Polacy uciekają głównie z i tak już „słabych” regionów Polski, czyli ze ściany wschodniej. Na przykład Podkarpacie i Podlasie opuściło prawie 10 proc. ludności. To dotkliwy cios dla tych regionów, które tracą ludzi nie tylko na rzecz zagranicy, ale także większych ośrodków w Polsce. Brak młodych to niższy wzrost gospodarczy, mniejsza konsumpcja, mniejszy potencjał rozwojowy, wyższe wydatki socjalne. To także mniej przełomowych idei, pomysłów, kreatywnych przedsiębiorców i innowatorów.

Problem trzeci, to brak imigrantów. Ponad 250 tys. pracowników ze Wschodu – głównie Ukraińców – przyjechało w 2013 r. legalnie pracować w Polsce. Ilu z nich jest przez nas asymilowana i zachęcana do pozostania na stałe? Nikt. Polska odpycha imigrantów, nawet tych, którzy są nam bliscy kulturowo. Aby nasz kraj się nie wyludniał do 2050 r. powinno się osiedlić nad Wisłą około 5 mln osób.

Nawet ci, którzy przyjeżdżają do nas czasowo pracować, rzadko myślą by zostać na stałe. Bo Polska jest krajem nieprzyjaznym imigrantom: trudno im dostać pozwolenie na pobyt i pracę, wymagania formalne w stosunku do nich są koszmarnie, a absolwenci uczelni muszą się solidnie namęczyć, żeby nostryfikować swój dyplom. Trudności z „dostaniem” się do Polski mają nawet nasi repatrianci. Przybyło ich do tej pory, na mocy obowiązującej od 2000 r. ustawy, zaledwie 4,7 tys. Prawie 3 tys. czeka na wjazd do Polski, a przedstawiciele środowisk zajmujących się repatriacją wskazują, że ok. 20 tys. Polaków mogłoby przyjechać od razu, ale nie składa nawet wniosków, bo nie wierzy, że kiedykolwiek dostaną się do kraju.

Z najnowszych danych Eurostatu wynika, że na 1 tys. mieszkańców Polska nadała obywatelstwo 0,1 osobie. Było to w liczbach bezwzględnych zaledwie 3,4 tys. Mimo demograficznego dramatu jesteśmy, obok Słowacji, Litwy, Bułgarii, najmniej przychylnym asymilacji przybyszów krajem w UE. Dla porównania średnia w 28 krajach Wspólnoty wynosi 1,6, cała Wspólnota nadała obywatelstwo w 2011 roku 783,1 tys. osobom. Na przykład w Wielkiej Brytanii wskaźnik ten wynosi 2,8 (177,6 tys. nadanych obywatelstw), w Szwecji odpowiednio 3,9 i 36,6 tys., w Niemczech 1,3 i 109,6 tys. Będąca poza UE Szwajcaria nadała obywatelstwo 36 tys. osób, co stanowi 4,6 na 1000 mieszkańców.

Polska nie ma właściwie żadnej polityki imigracyjnej. W oficjalnych dokumentach przyznaje to nawet Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Nie wiemy co chcemy robić, jak robić i kiedy coś zrobić w tej kwestii – brzmi urzędowa konkluzja.

III.

Steven A. Nyece oraz Sylvester J. Schieber w książce „Ekonomiczne konsekwencje starzenia się ludności” dochodzą do niezmiernie prostej konstatacji. Piszą: „Podstawą dynamiki każdej gospodarki jest gra między popytem na dobra i usługi, a zdolnością gospodarki do zaspokojenia tego popytu. Ekonomiści zawsze usiłowali wyjaśnić produkcję za pomocą nakładów. Mimo, że nie ma ogólnej zgody co do matematycznego modelu, to jest oczywiste, że podstawą gospodarczej pomyślności są liczba osób pracujących oraz efektywność produkcji [...] Na poziomie

podstawowym mechanizmy gospodarcze są bardzo proste. Stopa produkcji (PKB) jest równa sumie wzrostu zasobów siły roboczej i stopy wzrostu produktywności pracowników.”. Cały wzrost gospodarczy zależy od dwóch podstawowych czynników: liczby ludzi i innowacyjności.

A tylko zdrowa gospodarka pozwala myśleć o bezpieczeństwie i podmiotowości. To właśnie dlatego kulejąca demografia będzie jedną z podstawowych barier naszego rozwoju.

W tej sytuacji trzeba zacząć działać, bo nie jest prawdą, że nie można nic z tym zrobić.

Doświadczenia krajów, które uciekły spod demograficznej gilotyny uczą, że:

- nie ma jednej cudownej recepty na poprawę sytuacji - to musi być cały zestaw narzędzi,
- działania w tym zakresie muszą być specyficzne dla danego kraju - to co działa nad Tamizą nie musi wcale działać nad Wisłą,
- działania wprowadzane muszą być konsekwentnie i długofalowo - nie mogą zmieniać się co kadencję, potrzeba tu ponadpartyjnego konsensusu, ludzie uwierzą, że mogą bezpiecznie wychowywać potomstwo jeśli nie będzie zmian polityk,
- polityka na rzecz rodzin kosztuje - zgodnie z ogólną zasadą, że nie da się robić polityki bez pieniędzy.

Cały ten proces demograficznej odsieczy powinien być „utopiony” w głębokiej zmianie podejścia naszego państwa do obywateli i przedsiębiorców. Musi skierować się ono do nich twarzą, a nie być odwrócone plecami. Fiskalizm, urzędnicza omnipotencja, polityka nieufności do obywateli i ich kontrolowanie – wszystko to nie sprzyja budowaniu bezpieczeństwa rodzin i ich podmiotowości.

Mamy zatem do wykonania ogromną pracę. Jeśli nie podejmiemy tego wyzwania – po prostu wymrzemy. Przy obecnym poziomie dzietności kobiet potrzeba do tego raptem 7 pokoleń.

Blisko jest bowiem współczynnikowi dzietności do granicy, którą demografowie nazywają *skrajnie niską dzietnością (lowest-low fertility)*. Im niższa liczba urodzeń, tym starsza struktura wieku a w konsekwencji tempo wzrostu populacji niższe i niższa liczba urodzeń, co przyspiesza proces starzenia się. „Impet” (*momentum*) wzrostu populacji wbudowany jest w strukturę jej wieku, która po osiągnięciu pewnego krytycznego stopnia prowadzi do stałego spadku rozmiarów populacji (stałego ujemnego przyrostu).

Warszawa, 05.05.2014, Warsaw Enterprise Institute